TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 34. *Chicago, Ills., 17 Lutego, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Bóg go wie — mówi że ze wsi, ale to nie chłopska krew — dodał Materski — nie, ja się na tem znam. Powiadam panu, że to śmiech jest... ale ci starsi ludzie, co tu bywają, wszyscy jeden w drugiego okrzykują, że jak dwie krople wody podobny do nieboszczyka wojewody. Nawet brodawkę, którą miał tamten pod lewem uchem, i ten ma... cha! cha!

Przybyły gość jak nieprzytomny zerwał się z siedzenia i ledwie dał gospodarzowi dokończyć.

— Ale co znowu! głupstwo! imaginacya! bałamuctwo, paplanina! Znałem nieboszczyka, najmniejszego podobieństwa. Jeden zmyślił, a drudzy za panią matką pacierz powtarzają.... Najmniejszego, powiadam Wam, najmniejszego podobieństwa!

— Przecież ludzie różni.

— Ludzie głupi! co to to jest! — ofuknął przybyły — to nie ma najmniejszego sensu! Cóżby z tego wnosić przyszło? że wojewody dziecko? Ależ to był człek czysty i znany, a gdy zmarł temu lat, jeźli się nie mylę, czternaście, świeżo się był ożenił.... Chłopiec zaś...

— Chłopiec właśnie w tym wieku — rzekł Materski — Ale, proszę pana Brzeskiego, wszak tak podobno mam honor...

Nieznajomy głową kiwnął, skłonili się sobie..

— Proszę pana Brzeskiego, kończył kupiec, czy po wojewodzie zostało potomtswo?...

— Był ponoś synek.... — tak — bąknął Brzeski — ale zaraz w parę lat umarł....

Zatrzymała się rozmowa.. Brzeski jakby mimowoli mruknął: Gdzież ta brodawka pod uchem?

Właśnie Janek wchodził z pękatą buteleczką, i gdy ją odkorkowywał, gość miał czas przypatrzeć się brodawce, która była bardzo widoczna.

Materski cały się zajął reprezentowaniem miodu.... otarł lampkę, nalał powoli i podał ją tryumfując Brzeskiemu.

— Spróbuj pan... to miód kapucyński — rzekł — ale racz wniknąć w treść tego napoju ambrozyi.... wiosną czuć, lipą, młodością, a mimo to stary, wytrawny.... i nic nie stracił z gęstości swej, nic z barwy, nic z woni, tylko siły nabrał... Chorych uzdrawia, umarłych wskrzesza....

Brzeski niosąc lampeczkę do ust uśmiechnął się....

— A co? a co? — dodał Materski. — Mówią o winach tokajskich i innych, że to perfekcya napojów, a ja powiadam, że nie ma jak miód, tylko nie taki, jaki dziś pertolą.... W klasztorach to miody były.... ej.... panie...

W tej chwili brzęknęło coś potłuczonego w drugiej izbie, i Materski ścisnąwszy pięście wyleciał wnet spełniać obowiązek swój karny. Brzeski został sam, bo Janek był odszedł, siedział jednak tak, iż chłopca mógł widzieć i wpatrując się w niego o miodzie zapomniał...

Kiedy i jak wyszedł, nikt nie spostrzegł, znalazła się butelka zaledwie poczęta na stole, a Janek ją na nowo zakorkowawszy, o nazwisko gościa spytał gospodarza, doniósł o niedopiciu i zachował resztę dawszy jej na szyję znaczek.

— Myślałem zawsze — rzekł Materski — iż to jest rozumny człek ten Brzeski, a to osieł. Jakże takiego miodu nie dopić.... porzucić! Gdzieindziej by to gawiedź wychlała i tyle.... Żeby nie Janek, toby ten święty miód poszedł na paskudne gęby... Toć grzech...

W trzy dni potem nad wieczór zjawił się nakuliwając pan Brzeski, tylko już nie sam... Z nim razem przybył drugi mężczyzna słusznego wzrostu, pańskiej miny, przy szabli, lecz tak otulony i kołnierzem zakryty, iż mu tylko nos czerwieniejący widać było...

U Materskiego trafiało się różnie, miał gospodarz za zasadę szanować incognito... Nie jeden dygnitarz, gdy się chciał napić co dobrego, przysunął się tak o szarej godzinie, zawiązany. Materski nigdy nie śledził, kto pił, byle wypiwszy zapłacił.... I tym razem choć popatrzył trochę, ustąpił z drogi... poszli dwaj ichmość do bocznej izby.... Janek za nimi... poznał zaraz p. Brzeskiego...

— Pan to ostatnią razą prawie całą butelkę miodu zostawił, czy mam ją podać? — spytał....

Co Brzeski odpowiedział, nikt pono nie słyszał, znać mu się język plątał.... Oba przybyli zapatrzywszy się na Janka stali gdyby osłupieli. Ten ich wziął za napitych. Powtórzył pytanie, kiwnęli głowami.... Janek wyszedł... Zaledwie znikł, słuszny mężczyzna padł na ławę i za głowę się pochwycił.

— Prawda jest — zawołał — prawda, żyw nieboszczyk! To nieszczęście.... żyw.... on tu pozostać nie może... Róbcie co chcecie, bierzcie co chcecie.... Pomsta to Boża chodząca. Struchlałem zobaczywszy go.... Brzeski.... dnia jednego nie można zwlekać.... ludzie już gadają... sprzątnąć go należy.... sprzątnąć...

— Na miłość Bożą! cicho — przerwał Brzeski....

Janek wchodził właśnie z uśmiechem stawiając butelkę i lampeczki. Oba rozmawiający zamilkli jak przerażeni znowu... Brzeski znać pierwszy ochłonął.

— No — rzekł do chłopca — a jakże tam waszeci z Materskim?

Zdziwiony nieco chłopak rzekł:

A cóż, dobrze mi tu jest...

— Ale byś asan czegoś lepszego wart — dodał Brzeski zwolna. — Masz przystojną dosyć postać i znać, żeś roztropny.... poszedłbyś na dwór, wzięliby cię dla urody, i czegoś byś się dosłużył....

— Na dwór? — zapytał Janek — na jaki?

— Na pański! Życie tam lepsze niż tu...

— O! ja się z miasta nie ruszę — rzekł chłopak — bo ja tu uczyć się mogę i uczę.

— Hę? czegoż? — zdziwiony pochwycił Brzeski, bo drugi pił i milczał.

— Łaciny, a po trochu tam i innych rzeczy...

— I na co ci to?

— Proszę pana, ja nie wiem — zawołał Janek — ale mi się zdaje, że człowiekowi nauka, jak roślinie słońce potrzebne. Dusza się do niej rwie...

Goście spojrzeli po sobie zdumieni.

— Bałamucisz, moje dziecko — po chwili dorzucił Brzeski... czasu, który na naukę stracisz, użył byś lepiej, nauka chleba nie daje, a na starość...

Janek się cofnął do progu, jak gdyby rozmowy unikał, i rad był ją skończyć, skłonił się i wyszedł... Gdy się drzwi za nim zamknęły, mężczyzna, który siedział w ciemnym kącie zawiązany, wstał jak sprężyną rzucony i począł wielkiemi kroki chodzić po izbie, trąc czoło i rwiąc suknie na sobie; nie mówił nic, ale pasował się z sobą tylko... Brzeski nań patrzał niespokojny...

— Niech no pan siada... niech pan siada... nie trzeba nigdy tracić przytomności...

Zdawał się nie słyszeć i nie słuchać drugi.

— Z grobu wstał! — zawołał — on! żyw! Jego głos... mowa jego... oczy... twarz... Brzeski precz mi z nim!...

— Cierpliwości! — szepnął Brzeski — na miłość Bożą, cierpliwości.

— Płać... szafuj pieniędzmi... rób co chcesz... Dosyć, aby ona go zobaczyła... ona, a wszystko się odkryje... srom, hańba... miecz katowski.... Brzeski.... z tym świadkiem jednego dnia żyć nie mogę....

Chmurny, milczący Brzeski miód popijał, postawił szklankę na stole; wstał, zbliżył się i ujął za rękę rozgorączkowanego towarzysza....

— Zrobię, co chcesz — szepnął cicho.... a no krwi, nie przeleję.... nie! za nic! niewinnej krwi na sumieniu mieć nie chcę, nie... Użyj pan kogo chcesz, nie mnie, nie mogę....

— Milcz! — gwałtownie przerwał uderzając go w piersi ręką towarzysz — milcz! któż ci o krwi mówi? kto? milcz! nie chce nic, słyszysz — nic! obejdę się bez twojej pomocy....

Odwrócił się wzgardliwie i przechadzał znowu, Brzeski powrócił na siedzenie.

— Słuchaj pan — rzekł surowo.... kraj szeroki.... jest przecie go zadziać gdzie tak, by nie wrócił.... co tu myśleć wiele.... porwać łatwo, uwieść można i zamknąć.... Masz przecie zamków dość i ludzi wiernych dosyć alboż pierwszyzna więzień w lochu? wszak mógł się porwać i popełnić zbrodnię, któż karać ma poddanego, jeźli nie pan jego?

— Ani pomocy twej ani rady nie potrzebuję — sucho ozwał się drugi — milcz.... dość tego!

Burząc się tak przeszedł jeszcze izbę kilka razy i padł na ławę zwiesiwszy głowę.... Brzeski podniósł się, wziął go za rękę i pocichu coś na ucho szeptać mu zaczął.... Rozmowa głośna zmieniła się w niedosłyszane mruczenie... które trwało długo, aż oba ochłonęli i na pozór zgodni.... zamilkli.... Janek zajrzał ... Oczy obu ich podniosly się na niego.... Kazano dać flaszę wina, i już handel Materskiego miał się zamykać, gdy po długich konszachtach dwaj goście zakrywszy twarze wynieśli się z niego pocichu....

Od tego wieczora codziennie o jednej godzinie przybywał pan Brzeski do handlu Materskiego, wypijał nie więcej nad jednę miodu lampeczkę powoli, przynoszącego Janka zatrzymywał rozmową i widocznie go polubiwszy, starał się obudzić w nim ku sobie zaufanie. — Młode chłopię miało naturę łatwo dającą się pociągnąć i przywiązującą do ludzi, dosyć powiedzieć na dowód, iż zgryźliwa pani Materska i krzykliwy mąż jej nawet nietylko mu się nie przykrzyli, ale ich prawie pokochać potrafił. Szczególnym wszakże fenomenem, w naturze się trafiającym, jakiś wstręt czuł Janek do słodzącego się doń Brzeskiego. Człowiek ten obudzał w nim obawę dziwną, odpychało coś od niego.... Maleńkie podarki, czułości nie przyciągały Janka ale raczej odpychały. Życie też owo w gwarliwej winiarni, wśród ciągłego roztargnienia, niedozwalającego nigdy zebrać myśli, zaczynało mu się przykrzeć. — Nie mówił o tem nikomu, ale przemyślał, jakby się z tych twardych uwolnić więzów.... Niestety miał tylko do wyboru lub ukradkową naukę przy pracy dla chleba, albo żebraninę po domach, upokarzającą i bolesną.... Bakałarz, który w wolnych godzinach pomagał mu do nauki, książek dostarczał i otuchy dodawał, był godnym następcą kanonika Hodowskiego co do serca, co do głowy, tę miał tak przewróconą, jak wszyscy ci, co się niedouczywszy czegoś, nie mają siły postrzedz nawet, jak wiele im braknie.

Był on nauczycielem dzieci w infimie, lecz przekonanym zarazem, iż gdyby nie złość ludzka, powinni mu byli katedrę filozofii powierzyć co najmniej w uniwersytecie. Zdanie to i opinię o sobie jak najlepszą opierał na w istocie niepospolitej znajomości języka łacińskiego, który umiał doskonale, lecz po za tem.... nic a nic więcej. Głowa była ciasna.... zajęta cała regułami tego języka.... a przez język nie umiejąca nawet sięgnąć do myśli, która się w nim wyrażała.... Że mu się często udawało barbaryzmy doktorów i profesorów poprawiać, wzdymał się tedy pychą ogromną, i mawiał naiwnie, iż w Krakowie całym nikt mu rzemyka nie godzien był rozwiązać.... Stary już pan Euzebiusz Bramiński, wyglądał jeszcze krzepko i zdrowo, tylko mu się plecy nieco ugięły pod ciężarem niesprawiedliwości i krzywd doznanych od tego świata. Chociaż świecki, nosił się w sukni klerykckiej i przybierał powagę duchownego. Figura była olbrzymia, długa, koścista, z nosem nie rzymskim wprawdzie, któryby mu bardzo przystał do roli, ale zato niepomiernie wielkim, z twarzą, zawiesistą, z głową spiczastą, o szyi wyniosłej. Nogi, na których spoczywał, i ręce, któremi dowodził, stosownie do postaci rozmiarów dała mu natura.... Spojrzawszy nań, zwłaszcza gdy na ów nos wdział okulary mosiężne, głowę dźwignął i skandował wiersz jaki, ręką wybijając miary, można go było wziąść za rzeczywistego profesora uniwersytetu. A tymczasem Bramiński nawet stopnia magistra filozofii dobić się nie mógł i wegetował w podziemiach budowy akademickiej, nauczając bębnów pierwszych zasad czytania, pisania i — rachunku.. Ilekroć nad losem swym zastanowił się pan Euzebiusz Bramiński, tylekroć z ironią boleści pełną cytował najzjadliwsze satyryków ustępy — przeciwko rodowi ludzkiemu.... Doszedłszy do siwego włosa, a nie mogąc się dobić ani lepszego chleba, ani wyższego stanowiska, Bramiński dał kpu światu za wygraną to — prawda — ale pocieszał się nie oszczędzając go wcale.

Za co Bramiński polubił Janka, trudno odgadnąć; może iż był biedniejszy jeszcze od niego... może iż mógł dlań grać rolę protektora i mecenasa.... dosyć, że go uczył i zaszczycał swojem zaufaniem. Bramiński oprócz lekcyi w szkółce dawał prywatne w mieście, ale to wszystko razem wzięte ledwie go żywiło.... i mieszkał komornem u niemłodej wdowy po przyjacielu swym, niegdyś organiście u P. Maryi na Kleparzu. Złe języki utrzymywały, iż się z nią miał żenić, jeszcze gorsze dowodziły, iż o czternastoletnią jej córkę zamierza się starać, gdy ona dojdzie lat dwudziestu, a on sześćdziesięciu pieciu; były to bajki wierutne.... bo Bramiński już na żadną, pocieszniejszą przyszłość nie rachował. W dworku u Tadeuszowej miał na piąterku izbę dosyć widną i dogodną... i tam pędził pozostałe od pracy godziny samotnego żywota, pocieszając się grą na skrzypcach. Z charakteru i usposobienia Bramińskiego łatwo się domyśleć, iż za równie znakomitego miał się wirtuoza jak uczonego... Ale niewdzięcznemu światu... jeniuszu swego objawić nie chciał... Goryczą tą uzbieraną przez długie lata żył konserwując się w niej doskonale... Pocieszało go to, iż Tadeuszowa i jej córka przynajmniej, wiedziały, jak on był wielkim... umiały go cenić i szanować. Do liczby wybranych należał Janek, który nazywał go panem profesorem i w rękę całował. Właśnie jednego wieczora chodząc po izbie wygrywał Bramiński jakieś trele, którym wycie psa z blizkiego podwórza towarzyszyły w naprzykrzony sposób, gdy zapukano.... Euzebiusz przerwał grę, ale mocno rozgniewany.... Któż tam? — zawołał.

Pokazała się głowa Janka i gniew zniknął.

— A to ty, chłopcze... chodź! chodź! Miałem złożyć właśnie skrzypce... No cóż tam! *Quid novi fert africa*!

— Nic nie ma, panie profesorze, — westchnął Janek — przyszedłem się pokłonić... i użalić....

— Cóż ci to? mów...

— Biada... zdaje mi się, że nie wytrzymam dłużej — mówił chłopiec. — Choć to się nazywa winiarnią, ale to zawsze rodzaj szynku... wrzawa, hałas, niepokój i o nauce pomyśleć trudno...

— A jakże sobie rady dasz? — poważnie spytał wyciągając szyję i strojąc protektorską postawę Bramiński.

— Gdyby pan profesor mi dał radę!

— Do bursy cię żadnej nie przyjmą..... to darmo! — odparł Euzebiusz — tam panuje intryga i nepotyzm..... każdy wciska jeźli nie ubogich krewnych, to powinowatych sług swoich

i protegowanych przez zauszników. Jak wszędzie na świecie prawdziwa zasługa i prawdziwe ubóztwo odepchnięte.... Patrz na mnie... żywym jestem przykładem niesprawiedliwości świata tego.. Jaką ci radę dać? chyba tę, żebyś był podłym i głupim ażeby ci na świecie dobrze było, bo takim tylko fortuna sprzyja.. *Stultos fortuna juvat.*

Profesor przeszedł się razy parę po izbie.

— A jeść trzeba, a jeść trzeba, albo z głodu umierać — dodał jakby do siebie. Nagle odwrócił się do chłopca, i zawołał archimedesowem — *Eureka*! uderzając się palcem w czoło.

— Wiesz ty co? Kupcowa, ale kobieta wielce szanowana i groszowita, wdowa po bogatym garbarzu Salomonie... nazwisko ze starego testamentu, ale ona do nowego należy — nie bój się — ma trzech synów, wisusów. Chodzą oni do szkoły, ale ba! idąc do niej zwiedzają wszystkie zaułki i tłuką szyby żydom, przekupkom wywracają stragany.. kradną obwarzanki, kotom ogony w pęcherze wiążą.. wisusy, łajdaki rozpuszczone to na dziadowskie bicze.. Salomonowa mi mówiła, że gdyby się znalazł uczciwy, porządny, spokojny chłopak, który by z nimi chodząc, dozorował i do nauki w domu napędzał i dobry im przykład dawał.. chętnie by mu wikt i stancyą ofiarowala..

Janek poskoczył do ręki profesora z wyrazem największej radości.

A! to wybawienie dla mnie! — zawołał — to szczęście.

— Nie ciesz się tylko tak do zbytku, bo chłopcy Salomończyki urwipołcie jakich mało, i życie ci z nimi może obrzydnąć. Ona kobieta dobra ale słaba, radaby, żeby ich na ludzi kto wyprowadził, a dyscypliny nie dopuszcza. A cóż poradzić z krnąbrym duchem bez rózgi? Tylko co sieczone to zdrowe, z gagatków gnój..

— A! z chłopcami dalipan dam sobie radę..

Profesor pomyślał.

— No, to chodź... dom pani Salomonowej niedaleko... poco zwlekać... *stante pede* się to zrobi, i do szkoły będziesz chodził, jak się należy..

— Janek jeszcze raz w rękę pocałował profesora i wyszli. W istocie kamienica kupcowej była niedaleko, a poznać ją mógł przeczuciem Janek po krzyku, jaki trzej chłopcy, ośmio, dziesięcio i jedenastoletni robili, wisusując w podwórzu.. Ukazanie się poważnej postaci profesora spłoszyło nieco Salomończyków... Wdowę zastali w domu z kumoszką, która na kawę przyszła. Znać było po izbach dostatek wielki i starą zamożność.. wszędzie pełno kosztownego sprzętu, kobierców, szaf a w szafach za szkłem sreber i szkieł weneckich i wszelkich osobliwości. Salomonowa, niewiasta otyła, rumiana, łagodnej twarzy... wynosiła się z dostojnością imienia swego, wielką przybrawszy powagę.

— Czcigodna pani a najłaskawsza dobrodziejko — ozwał się kłaniając bakałarz — oto przedstawiam jej młodego, chciwego nauki chłopca, niegdyś wychowańca profesora Hodowskiego i mojego ucznia.. który — zdaje mi się — ufam, tuszę, spodziewam się, potrafi zbytnią rozbujałość chłopców jej powstrzymać.. Jeźli pani trwasz w zamiarze swym..

Wdowa popatrzyła na Janka, który śmiało w oczy jej spojrzał, jakby całą duszę w wejrzenie chciał przelać i wyspowiadać się z niej, poczęła pytać o sierotę. Nie bardzo jej było do smaku, iż z rodziców wykazać się nie mógł, choć z twarzy i miny podobał się jej wielce... Była tedy chwila niepewności i wahania, oglądano i badano Janka jak konia na sprzedaż wyprowadzonego, w końcu sprowadzono trzech paniczów, aby im go zaprezentować. Dzieciaki przyszły go dokoła też opatrywać, nie bardzo rade może nowemu towarzyszowi. Janek stał milczący, odpowiadał śmiało, a resztę polecił Bogu. I to nie po myśli było wdowie, iż w winiarni czas jakiś służył, ale przeważyła rada Bramińskiego i — Janka przyjęto.. Pocałował w rękę panią Salomonowę... umówiono się, iż jak można najrychlej się sprowadzi... a tymczasem chłopak pędem pobiegł nazad do Materskiego, bojąc się, że tam już sądny dzień zastanie. W istocie gotowało się jak w garnku, ale gdy nadszedł, Materski złagodniał i wszystko weszło w karby zwyczajne. Za stołem w izbie siedział Brzeski już za swoją miodu lampeczką... Przywitał Janka czule.... Słyszał zdala wrzawę i pytania:

— Gdzieżeś to chodził? a coś robił? czego tak długo bawiłeś?

— Porzuciłbyś bo tych Materskich — rzekł cicho do Janka — jabym ci inne znalazł miejsce...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TRZEJ WĘDROWCY,

CHRZESCIANIN, ŻYD I TUREK

— CZYLI —

KTO W BOGU POKŁADA ZAUFANIE, O TYM MA TENZE OJCOWSKIE STARANIE

Powieść nader powabna i pouczająca.

— PRZEZ —

TOMASZA WIŚNIEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Król stojąc za mędrcem, słyszał całą rozmowę jego; Jedok zaś króla nie spostrzegł. Król tedy powtórzył następujące słowa:

— Lecz skoro tylko człowiek na wszystko ma baczność, i roztropnie wszyskiego dochodzi, tedy dojdzie do celu, i dojdzie do prawdy?

— Byłyż to twoje słowa, Jedoku?

Jedok ukłoniwszy się królowi rzekł: — być może, że są te same.

Czy jesteś też przekonany o prawdzie słów twoich, Jedoku? — zapytał król.

— Jestem, — odpowiedział mędrzec.

— Ach! — rzekł król, — jak często zastanawiałem się, z natężeniem i uwagą nad istotą, która nad wszystkiem panuje, a jednak nie mogłem zgłębić i przekonać się, czyli wiara moja jest nieomylną?

— Ja wielbię Upupacha odwiecznego, młodzieniec z Knetwortu czci Jehowę, ten który był ze Szebasa, wzywa Ałacha, a młodzieniec z Zamborsztu modli się do Boga. Któż tedy modli się najpewniej? Którego wiara prawdziwa? Która czyni człowieka tu prawdziwie szczęśliwym, i pokrzepia go nadzieją miłej przyszłości?

— Ta wiara prawdziwa, która człeka najprędzej i najpewniej prowadzi do szczęśliwości sumienia, i która na cnocie i dobrych zasadza się uczynkach, — rzekł mędrzec; — doświadczaj królu, a potem obieraj!

— Ale powiedz mi też, mój Jedoku, czy ty jesteś zadowolniony nauką naszych ksiąg kapłańskich? — zapytał król.

Na to mędrzec odpowiedział:

— Celem usiłowań i prac moich było, abym poznał, co prawda, a co fałsz. Nie podobna twierdzić, żem swego dokazał, gdyż to jest nader głęboka materya. Cieszę się jednak niezmiernie, żem przyszedł do przekonania, iż czegom tu nie zgruntował, to mi się wyjaśni na tamtym świecie, bo mnie rozum mój powiada, iż tu nie wszystko dane jest człowiekowi. Ztąd wypływa, iż ta przyszła nadzieja nasza powinna być dla nas bodźcem do ćwiczenia się w cnocie i nauce. Muszę ci wyznać, królu mój, iż mając przekonanie, żem niczego nie zaniedbał, przestaję na tem, czegom się nauczył; bo mi znowu rozum powiada, że tu jednak wszystkich tajemnic nie zbadam, choćbym był najoświeceńszy z ludzi, i wszystkie przeszedł kraje i wszystkie przepłynął morza.

Tak mówił mędrzec na wyspie króla Ulina. Lecz po kilku dniach doniesiono królowi, iż Jedok z tym się pożegnał światem. Król smucił się mocno, wdział na się żałobę, i opłakiwał długo swego najlepszego powiernika i największego przyjaciela. Nie miał już nikogo, z którymby o tak ważnych, jak z Jedokiem, mógł rozmawiać rzeczach; strata jego była tym większa dla króla. Często przypominał sobie słowa mędrca: doświadczaj i obieraj! Przedsięwziął przeto żadnych trudności nie szczędzić, lecz aż do zgonu życia swego dochodzić prawdy, a mianowicie, która wiara na niewzruszonych i nieomylnych zbudowana postawach.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Niespodziane odwiedziny.

Do miasta Szebas przybył starzec, dopytujący się wszędzie za pomieszkaniem kupca, któremu było imię Zebit. Lecz kogo się tylko zapytał, nikt nie znał kupca tegoż imienia. Już kilka dni bawił w mieście, a nie podobna było dowiedzieć się o Zebicie. Zdarzyło się, że zastąpiwszy starcowi drogę chłopiec znędzniały, prosił go usilnie o jałmużnę. Odzienie chłopca brudne i podarte, postawa jego i mowa, wzruszyły starca mocno, który go łagodnym zapytał głosem, jak się nazywa.

Chłopiec odpowiedział:

— Jestem synem nieszczęśliwego Zebita, który znędzniał tak dalece, iż musi ludziom wodę nosić, nie chcąc umierać od głodu.

Starzec słuchał pilno, i znowu zapytał chłopca:

— Czemuż to powiedziałeś, mój chłopcze, że jesteś synem nieszczęśliwego Zebita?

— Ach! — rzekł chłopiec — bo nieszczęśliwym został; był niezmiernie bogatym, a potem wszystko bogactwo morze mu zabrało.

— Zaprowadź mnie do twojego ojca, mój chłopcze! — mówił starzec.

Chłopiec odpowiedział:

— Chętnie zaprowadzę cię do niego, czujesz zapewnie litość nad nami, bo nie pytałbyś się tak pilnie za nami.

Chłopiec szedł naprzód, a starzec za nim.

Przyszli nakoniec do jednej brudnej i ciemnej uliczki. Chłopiec stanął przed nędzną chatą i powiedział starcowi, że tu mieszka jego biedny ojciec Po wązkich schodach przybyli do drzwi. Otworzywszy je chłopiec, wprowadził starca do ciemnej, szczupłej izdebki, w której nic jak sama nędza znajdowała się. Osoba wyschła, wybladła, piastująca dziecię małe, siedziała na brzydkiej ławie.

A chłopiec rzekł:

— Patrz ojcze, kogo ci prowadzę; mąż ten pytał się za tobą, i chce się z tobą widzieć.

Ojciec wstał, spojrzał na starca, potem rzekł:

— Ze mną? Ze mną? Kto jesteś panie, co się pytasz za mną, za nieszczęśliwym na zawsze Zebitem?

— Jak to? czy nie znasz mnie wcale? — począł mówić starzec; — może dla tego mnie nie poznajesz, żem się tak mocno zestarzał?

— Królu mój i panie! — zawołał Zebit, — i rzucił się starcowi do nóg. — Nie dowierzam oku memu, ale zdaje mi się, że widzę istotnie przed sobą miłościwego króla Ulina, i to jeszcze w tak nędznem chalupsku, jakiego trudno znaleźć na świecie!

— Tak jest, mój Zebicie, jestem ten sam; poznajesz mnie teraz? — zapytał starzec.

— O poznaję, poznaję cię, królu mój i panie; padam ci do nóg twoich i dziękuję za tak wielką łaskę, wielki królu mój i panie; lubo nie umiem powiedzieć, przez co zasłużyłem na pamięć i względy twoje, królu mój, widzę jednak oczywiście, jak nieograniczona twa litość i miłość ojcowska, gdyś się nie wzdrygnął odwiedzić dom nędznego woziwody Zebita!

I widać było z twarzy jego, jak wielkie w tym momencie czynił sobie nadzieje.

Starzec obejrzał się, westchnął głęboko i rzekł:

— Dla czego nazywasz mnie jeszcze królem i panem? Spojrzawszy na cię, przekonałem się, iż między nami już żadna nie zachodzi różnica. Byłem królem, byłem panem, ale teraz jestem, równie jak ty, największym nędzarzem. Naród mój powstał przeciw mnie, zniewolił mnie do ucieczki; ledwie mogłem życie własne ocalić. Na lichym okręcie przepłynąłem morza. Stary, ubogi, od wszystkich opuszczony, nie wiedziałem, do kogo się udać. Przypomniałem sobie o tobie, i przy tym kiju oto postanowiłem iść do ciebie, i prosić o przytułek na moje stare lata; spodziewałem się bowiem, iż będziesz pomny na dobrodziejstwa, których zażywałeś dawniej odemnie. Wszakże jesteś młodszym niż ja, jesteś silniejszym i zdolniejszym do pracy niż ja; ze wszystkiem będę się kontentował, co mi udzielisz: wreszcie ja stary nie wiele potrzebuję, choć tylko raz na dzień będę pokarmu pożywał, bylebym spokojnie żywota dokończył. Zlituj się Zebicie i przyjmij mnie do siebie!

Usłyszawszy to Zebit, począł mocno płakać i wyrzekać. I załamując ręce, rzekł:

— Bodajem się nigdy nie rodził, obmierzło mi życie, nienawidzę świat; wszystko mi jedno, czy słyszę o szczęściu lub nieszczęściu człowieka; dla czego ja nieszczęśliwy jeszcze ży-

ję na świecie? Starcu, który przestałeś być królem, i takim zostałeś jak ja nędzarzem, wiedzże o tem, że gdym z wielkiemi skarby kraj twój opuścił, innego byłem ducha, inne czułem siły, wielkie mnie wtenczas ożywiały nadzieje. Ale to wszystko ubłuda i oszukaństwo! Morze zabrało mi skarby moje. Powróciwszy do domu o żebrzącym chlebie, drugie spadło na mnie nieszczęście. Cały majątek po ojcu zginął, i ani złamanego grosza w domu nie zastałem. Gdybym miał tyle mocy, odebrałbym sobie życie! Okropna jest u mnie nędza, czasem kawałka chleba i soli nie mamy w domu. Oto widzisz, ja którym był bogaczem, muszę dziś ludziom wodę nosić!

I szyderczym śmiejąc się głosem, krzyknął w szaleństwie swojem:

— Głupi starcu! to do mnie przychodzisz? u mnie szukasz przytułku! ha, ha, ha! ha, ha, ha!

Wszystko jest obłudą na świecie, wszystko jest marnością; ha, ha, ha! Myślałem, że będę szczęśliwy przez twoje skarby; — próżność, marność ha, ha, ha! I twój Upupach odwieczny jest tylko urojeniem ludzi głupich, równie jak ty.

— Pomiarkuj się zuchwalcze! — zawołał starzec; — o gdyby skarby moje nie napełniły zbytecznie serca twojego, gdybyś był wspomniał, że nie bogactwo stanowi szczęście człowieka na ziemi, byłbyś bez wątpienia dziś szczęśliwym w biedzie i utrapieniu twojem; nie szarpałbyś cnoty, i nie złorzeczył najwyższej istocie; bo wiedzieć powinieneś, iż skarby ziemskie nie na to są, abyśmy przez nie stawali się złymi, ale abyśmy bliźnich uszczęśliwiali, i sami czuli się przytym szczęśliwymi, żyjąc tak, jak po nas najwyższa, odwieczna istota wymaga. Inny byłeś w szczęściu, inny jesteś w nieszczęściu; zasady twoje są niegodne. Bądź zdrów, Zebicie! nie chcę z tobą, złośliwy człowieku, dzielić mej biedy, bo nie możesz się poratować i wesprzeć; nie znasz opoki, któraby cię ocaliła od pocisków niebezpiecznych w czasie nieszczęścia i nędzy.

To powiedziawszy, odwrócił się starzec i poszedł, a za nim dał się słyszeć głos szyderczy z ust rozpaczającego.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Ulin u Jusufa żyda.

— Utracił skarby Zebit, i czuje się już na zawsze nieszczęśliwym! — rzekł Ulin sam do siebie. — Widzę, że wiara twoja żadnej nie udziela rękojmi, nie chcę być jej wyznawcą. Ciekawy jestem, czy też towarzysze jego zostali takimi, jakimi się być zdawali; pójdę, poszukam ich, chętnie chcę ponosić trudy i niewygody, bylem tylko moje wewnętrzne zadowolnił pragnienie. Niepewność dręczy mnie okrutnie. Pośpieszę więc do Knetwortu, do Jusufa żyda, i przekonam się, czyli owoce wiary jego są lepsze.

I najbliższą drogą udał się król Ulin do miasta angielskiego, z którego Jusuf pochodził. A gdy tam przybył, dowiadywał się usilnie, czyli kto nie zna Jusufa żyda. Jeden odpowiedział, że go nie zna; drugi, że coś o nim słyszał, ale go także nie zna; i tak żadnym sposobem król Ulin zaspokajającej nie mógł z początku zasięgnąć wiadomości. Nie chcąc jednak żadnego środka opuścić, poszedł nakoniec do bióra magistratu miejscowego i prosił, aby mu powiedziano, czyli w tem mieście mieszkał niejaki Jusuf żyd. Z księgi ludności dowiedziano się tedy, iż jest w mieście Jusuf żyd, który się trudni obwoływaniem i zachwalaniem publicznem obcych towarów. Podziękowawszy za tę wiadomość, oddalił się i szedł sobie spokojnie jedną ulicą. I zdarzyło się, że na rogu tejże ulicy ktoś wywoływał, głos zdawał się znajomy; Ulin podwoił przeto swe kroki i przybył na róg ulicy.

— To on, — rzekł Ulin do siebie, — i zbliżył się do niego.

— Nie mógłbyś mi powiedzieć, mój kochany, gdzie mieszka Jusuf? — zapytał Ulin.

— Jusuf? Jusuf? to może ja jestem, — odpowiedział żyd, — bo ja się tak nazywam.

— Jeżeli tak, — mówił starzec, — bądźże więc tak dobry i zaprowadź mnie na chwilę do twojego mieszkania, bo mam z tobą coś ważnego do pomówienia, a tu nie jest miejsce do tego.

— Dobrze, dobrze, chętnie bardzo chętnie, pójdź za mną, mój panie, pójdź, zaprowadzę cię do mojego domu, — odpowiedział żyd.

Idąc już dosyć długo, przyszli nakoniec do nizkiego domku. Izraelita skłoniwszy się nizko, prosił starca, aby raczył wstąpić do domu.

Wszedł tedy Ulin do izby, i jednem spojrzeniem oka przekonał się, że się Jusufowi nie lepiej powodziło, jak towarzyszowi jego w Szebasie.

Spodziewałem się, — rzekł starzec, — że Jusufa w lepszem zastanę położeniu, a tymczasem widzę, żeś jest nędzarzem; myślałem, że we wszelkie opływasz dostatki, że ci na niczem nie zbywa, a jednak widzę się zmuszonym, z tobą pomówić.

— Tak jest, mój panie, — odpowiedział Jusuf, — były czasy, gdziem się liczył do najbogatszych w całym kraju; były, mówię czasy, gdzie się mnie kłaniano, gdzie mnie nazywano mądrym, wielkim, wspaniałomyślnym, szlachetnym — słowem: były czasy, gdziem był najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Dziś wszystko inaczej; oto ani pies nie zasmuci się, gdy ani kawałka chleba w usta włożyć nie mogę. Nędza moja przechodzi czasem wszelkie pojęcia!

— Ale zapomniałem; — powiedzże mi mój panie, w jakim interesie przybyłeś do Jusufa, który opuszczon od wszystkich, nie zna żadnego przyjaciela, nie wie co przyjaźń, a który jest nieszczęśliwym na całe życie?

— Ach! bodajbyś mnie poznał i był w stanie podać mi ulgę, — rzekł starzec; — czy nie znasz mnie więcej? — Wiek mój i nędza zmieniły twarz moją.

— Prawdziwie! — zawołał Jusuf, — jakobym ze snu się przebudził; ach, ach, — wszak króla Ulina widzę przed sobą?

— Jestem, byłem, — odpowiedział starzec, i westchnął.

Nim tych słów dokończył Ulin, już Jusuf padł mu do nóg, a przypomniawszy sobie owe skarby, rozpłakał się mocno, stękał i rzekł:

— Byłeś i już nie jesteś królem Ulinem?

— Jestem Ulinem, — odpowiedział starzec, — ale już nie królem. Naród mój opuścił mnie i wygnał. Wszystkie skarby moje naród mój odebrał mi i bez sposobu do życia uciekłem za morza. U ciebie postanowiłem szukać przytułku. Mam nadzieję, żeś nie zapomniał, ile dobrego dla ciebie czyniłem. Dozwól Jusufie, abym u ciebie złożył siwą głowę moją. Ale widzę, że i tobie jest bieda; powiedz mi przecie, możeby nam przyjemniej dni nasze schodziły, gdybyśmy spólnie pracując, wzajemnie się wspierali?

— Biada nam! — zawołał Jusuf. — Wiadomo ci, czem się trudnię; oto zarabiam tyle, ile potrzeba, aby nie zginąć od głodu. I ty śmiesz przychodzić do mnie i żebrać? Któż wie, możeś wiedział, że wszystko morze zabrało, a jednak przyszedłeś do mnie, przypominając mi owe skarby wielkie, i nowe zadając mi rany? Jestże to po ludzku? O stary! O głupi! Winogrona szukałeś na cierniu, ha, ha, ha; ugrzać się chcesz przy lodzie, ha, ha, ha!

I rozpacz opanowała go srodze.

— Będąc dawniej panem, występowałem po pańsku; lecz dzisiaj, gdym najnieszczęśliwszy z ludzi, nie mogę nikogo poratować, i dla czego pokładasz we mnie taką nadzieję?

— Głupcze stary! skarby twoje były to bąble na wodzie, — rozbiły się na morzu, i całe bogactwo leży w przepaściach jego. Ha, ha, ha!

— Pójdź ze mną starcu głupi i uciesz się ze mną; oto weźnijmy się za ręce, i idźmy na ulice Knetwortu, a ja zamiast; kupcie cukru! kupcie ryżu! będę wołał patrzcie, oto dwóch głupców widzicie przed wami! ha, ha, ha!

— Widzę, że ten człowiek nawet rozum utracił, — rzekł starzec sam do siebie, bogactwo zepsuło serce jego; nie ma siły aby mógł spokojnie ponosić przeciwności ziemskie.

— O biedny Jusufie, mówił Ulin, — pomnij na to, iż każda rzecz tu na ziemi częstym podpada zmianom!

— Głupi starcze, rzekł Jusuf, — pomnij i ty na to, że głupim byłeś i głupim zostaniesz; że wszyscy głupcami jesteśmy i że się tylko głupstwem trudnimy!!!

— Bywaj zdrów, Jusufie! — rzekł starzec z powagą, i oddalił się.

— Bądź zdrów, stary błaźnie! — krzyczał za nim Jusuf w swojem szaleństwie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Stary Ulin, u Ludwika w Zamborszcie

— Próżna nadzieja, — odpowiedział Ulin, — już dwóch znalazłem w nieszczęśliwym położeniu. Już zapomnieli o ludzkości, nie mają do

siebie zaufania, a na wspomnienie o dawnem bogactwie, dostają formalnego pomieszania zmysłów. O nędzni i politowania godni ludzie! Swiatowość znaczy u was więcej, niż cnota i spokojność duszy! Błądzicie w zasadach waszych! Co za boleść czuję w mem sercu! Miałżeby i ten trzeci być w podobnem położeniu? Pójdę i przekonam się.

Już się dostał nasz starzec na miejsce przeznaczenia. Idąc jedną bezludną uliczką widział, jak kilku mężczyzn w sieni lichego domku chwacko kuli żelazo.

— Jak to? — zapytał starzec samego siebie, — czy nie powiadał mi, że jest slósarzem, warto zapytać się tych ludzi o niego.

Właśnie jeden z czeladników wyszedł przed dom, a Ulin przystąpiwszy do niego, powiedział dobry wieczór i zapytał się czyli, nie zna Ludwika slósarza?

— Ludwika slósarza? zdaje mi się, że mój majster ma takie imię; — odpowiedział czeladnik. I obejrzawszy się, rzekł znowu: — patrz! jakby go kto zawołał, oto idzie mój majster.

I w samej rzeczy był to Ludwik, który właśnie wyszedł z izby w czarnej czapeczce na głowie i z wielkiemi cęgami w ręku.

Stary Ulin poznał go natychmiast, szedł ku niemu i zapytał go:

— Szukam majstra Ludwika, czy ty nim nie jesteś?

— Tak jest, jestem Ludwik majster professyi slósarskiej, i czegóż sobie życzysz odemnie?

— Mam jeden interes do ciebie, o którym radbym sam na sam z tobą pomówić, — rzekł starzec.

Ludwik zdjął grzecznie czapeczkę z głowy, otworzył drzwi i prosił starca, aby najprzód wszedł do izby. W izbie widział Ulin kilkoro dzieci bawiących się z sobą; nie daleko dzieci siedziała młoda niewiasta, mająca przed sobą robotę. Ludwik przystąpił do starca, i zapytał go, czego sobie życzy od niego. Ale starzec dał mu do zrozumienia, że z nim tylko w cztery oczy chce pomówić.

Natychmiast zapalił Ludwik drugą świecę, i zaprowadził nieznajomego staruszka do osobnego pokoiku.

I znowu Ludwik zapytał starca, czem mu służyć może, i prosił go siedzieć.

Starzec sfatygowany podróżą zabrał na krześle miejsce, i zapytał Ludwika:

— Powiedz mi naprzód proszę, czy to twoje dzieci? a ta niewiasta w tamtym pokoju, czy to twoja żona?

— Tak jest, — odpowiedział Ludwik.

— Zdaje się, iż jesteś szczęśliwym ojcem; widać, że w domu twoim jest pokój i jedność, i że się masz nie źle.

Ludwik skłoniwszy się rzekł:

— Za to dziękuję Bogu! Pokój i zgoda nie ustępują z domu mego, lecz co się tyczy bytu dobrego, właśnie nie doznaję. Ale mam nadzieję, że skoro mi tylko zdrowie posłuży, będę się miał lepiej. Trzeba to mocno zabiegać, aby wyjść na swoje, a zwłaszcza ja, który prawie nic nie miałem, gdym swoją professyę rozpoczął. Początek mój był nader trudny, a i tak Bóg różne na mnie zsełał krzyżyki.

(Dokończenie nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

WYŻYNKI NOCNE.

(Ciąg dalszy.)

— A juścić! juścić! ktoby się tam wyłgał, odezwały się głosy na wszystkie strony.

— No moi poczciwi sąsiedzi — mówił sołtys — jakoś żeście mnie trochę rozradowali, pomódz biednemu choremu, to sam Bóg nakazuje, otóż co mamy zrobić to nie odkładajmy na potem, bo już to na licha się przyda co odgrzewane; jak więc powrócimy do naszej wsi, a miesiąc da Pan Bóg wejdzie szczęśliwie, to mój Sylwester weźmie z chałupy swoje skrzypczyny. Kanareczka już ja tam wypędzę do basów i jak się tylko odezwie muzyka przed moją chałupą, niech jaki taki za sierp ze ściany po-

chwyci, a gdzie jest kilkoro, to niech dwojgiem, albo trojgiem wyjdzie, a da Bóg, jednej nocy położy się wszystko — ale pamiętajta chłopaki i białogłowy, żeby robota szła po ludzku, nie targać zboża, jedno przed drugie się nie wyżynać, kłosów za sobą nie zostawiać; bo kiedy już mamy co zrobić trochę dobrze, to już mu zróbmy całkiem dobrze, — No więc cóż wiara! będziecie dziś wszyscy na wyżynce?

— Będziemy mój sołtysie! będziemy! odezwano się na wszystkie strony.

— Bóg wam zapłać tymczasem moi poczciwi! to aż miło z takimi ludźmi!

— A słuchajcie no tatulu — mówił Sylwester, chłopak rumiany jakby kalina — mnie dwóch stron brakuje na skrzypcach, a niewiem zkąd by je tu wziąść — dodał skropiąc się w głowę.

— Nie frasuj się o to mój przyjacielu — odezwał się jakiś głos z tyłu — zajdź tylko do mnie na plebanią — a ja cię tam we wszystko zaopatrzę.

Wieśniacy obrócili się z pośpiechem i natychmiast poodkrywali głowy, za niemi stał ksiądz proboszcz Duliński, który przechodząc z kościoła na plebanię, niespostrzeżony przystanął i wysłuchał całej ich rozmowy. — A był to mąż już sędziwy i znany na okolicę ze swojej poczciwosci i bezinteresowności, bo nieraz zdarzały się przypadki, że kiedy przyszedł biedny ze chrztem albo pogrzebem, to nie tylko nie wziął żadnej zapłaty, ale jeszcze jakie parę złotych wściubił na zapomogę, znali go też wszyscy parafianie i kochali jak swojego ojca.

— Ale gdzież mi się to podział Antek Staszkiewicz, mówił zacny proboszcz obracając się na wszystkie strony — a takeś odemnie uciekł ty filucie, chodź sam, chódź tu moje dziecko, dobrego czynu nie trzeba się nigdy wstydzić, zażyjno tabaki mój sołtysie i zawsze tak postępuj całe życie, a Bóg nie zapomni o tobie, ani o twojej czeladzce. — Tak, tak moje dzieci, ucieszyliście mnie mocno, żeście z taką ochotą wzięli się do wykonania dobrego czynu. Bóg to wszystko widzi i pewno wam dobroć waszą szczodrze policzy — to mówiąc proboszcz pożegnał się z swoimi parafianami, kiwnąwszy na kilku gospodarzy starszych, a między nimi na sołtysa — żeby za nim poszli, poczęstował ich kieliszkiem dobrej wódki i zachęcił do dobrego uczynku.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OJCIEC KAPUCYN

CZYLI

ZWYCIĘZTWO WIARY I MIŁOŚCI.

(Dokończenie.)

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

W czasie morskiej przeprawy musiał Archanioł na żądanie Epifanijasza opowiedzieć mu wszystko co Baronowa po jego ze Szkocyi wyjeździe wycierpiała.

— Moja matka, — rzekł Archanioł, — jest prawdziwie bohaterką chrześciańswa. Niczem są moje zabiegi w stósunku do poniesionych przez nią ofiar. Służy ona Bogu w duchu i wprawdzie. Nic jej od niego odwieźć nie może!

Tu opowiedział obszernie, jako ją z kościoła anglikańskiego wyklęto, jako ją oskarżono i jako jej wszystkie dobra i sprzęty nawet zabrano.

— Nigdy ja, — rzekł dalej Archanioł — listu owego nie zapomnę, w którym się tak gorzko na surowe obejście się z nią użalała. Lecz cóż mówię? Owszem cieszyła się, że Bóg jej dał dożyć ubóztwa, w którem każdy o Bogu najlepiej pamięta. Ja przecię ubolewałem nad opłakanym jej stanem i postanowiłem, dla pocieszenia jej, Anglią opuścić i do Szkocyi

ruszyć. Dla ubezpieczenia się od napaści innowierców przywdziałem na siebie chłopskie sukmany, i naśladując tamtejszych wieśniaków, podobniem sobie, jak oni, rozczuchrał włosy i kapucyńską swą brodę. W takiem przebraniu stanąłem we wsi, leżącej w blizkości zamku Monomusko. Tu kupiłem różnej ogrodowizny i pobiegłem niby jako ogrodnik dalej. Przechodząc mimo zamku swych przodków, zajętego przez zbrojnych żołnierzy, westchnąłem głęboko.

— Ach, gdzież moja kochana matka teraz mieszka! — pomyślałem. — Już jej tu zapewno nie ma! A kogóż się zapytam o teraźniejszy jej pobyt? Ach, i milczeć jeszcze muszę! Inaczej zginąłbym na próżno!

I poszedłem na wieś do zamku należącą. Idę sobie smutny i już zupełnie niemal bez nadziei; wtem wychodzi z nizkiej chaty wieśniaczka jakaś. Gdy kogoś wołała, poznałem głos mi znajomy; przyglądam się dobrze niewiaście i odkrywam w odzieży nędzy i niedostatku wdowę po hrabim Lesley, wdowę po baronie Torey, dziedziczkę dóbr mnogich, matkę moją! Łzy zrosiły me lica i ledwiem zdołał uczucia swoje przytłumić. Zbliżyłem się do niej. W czasie, kiedy sobie ogrodowiznę wybierała, patrzałem na nią z radością. A na zapytanie: „Ileż to kosztuje?" odpowiedziałem z cicha:

— Jaśnie Wielmożna Pani, nic ja swej matce nie sprzedaję! Co mam, wszystko jej chętnie ofiaruję!

Zadziwiła ją ta odpowiedź. Przypatrzywszy mi się dokładnie, krzyknęła przeraźliwie. Lecz wspomniawszy na niebezpieczeństwo, uspokoiła się powierzchownie i pociągnęła mię za sobą do izby. O jakże wielka była jej radość. Ucałowawszy mię do sytości, rzekła ze łzami:

— O mój dobry synu! Czemże ci mam nagrodzić za narażenie się dla mnie na tyle niebezpieczeństw?

Ja zaś na to odrzekłem, że dowiedziawszy się o smutnym jej stanie, za najświętszą poczytałem sobie powinność, przyśpieszyć do niej i pocieszać ją wszelkiemi sposobami.

— Nie troszcz się o mnie, — odpowiedziała mi na to z uśmiechem. Nauczyłeś mię szukać prawdziwego bogactwa, którego ani złodziej nie ukradnie, ani rdza nie zepsuje.

Podziwiając to chrześciańskie bohaterstwo w matce swojej, dziękowałem Bogu za zlanie tylu łask na nią i na całą jej familią. Wtem usłyszeliśmy wielki hałas. Zaszczękły pałasze, drzwi się otworzyły nagle i weszli do izby żołnierze.

— Przychodzimy tu szukać popów katolickich, — zawołali głosem grubym. — Może tu gdzie ukryci!

A rzuciwszy okiem dokoła, przystąpili do mnie i rzekli:

— A ty tu co robisz?

Ja zaś wskazałem na ogrodowiznę. Lecz oni na to powiedzieli:

— Na drugi raz sprzedaj swoje korzonki i zielsko przed sienią, a nie wchódź tu do tej grzesznicy, bo to jest zapamiętała papistka! Albo możeś ty też szpieg jaki! A więc fora ze dwora i nie pokaż się tu więcej, inaczej postąpimy sobie z tobą, jak na to taki włóczęga zasługuje!

Milcząc spojrzałem tylko na matkę. Pojęła moje uczucia, i ja umiałem z jej oczu wyczytać, co się w jej łonie działo. Tak rozstaliśmy się z sobą. Od owego czasu nie widziałem jej jeszcze. Stawała mi tylko w duchu, jako klęcząca przed Ukrzyżowanym.

— Stanąwszy znowu w Anglii, musiałem jak dawniej, wiele ponosić przykrości.

— We Włoszech doszła mię radosna wiadomość, że matka moja za pośrednictwem królowej francuzkiej, ujmującej się szczerze za katolikami w Szkocyi, swój cały majątek odzyskała. Tylko ruchomości, które po zabraniu dóbr poprzedawano, nie zostały jej zwrócone. Lecz mniejsza to była strata, gdyż natomiast posiadała skarb, który jej nigdy nie zginie. Zawsze bowiem nagradza Pan Bóg za cierpliwe znoszenie dolegliwości, które na człowieka zesłał. —

Opowiadanie to napełniło serce Ojca Epifanijasza i morskiego kapitana słodkiem współczuciem. Podziwiając święte bohaterstwo Baronowej, rzekł te słowa;

— Życzę podobnej matki każdemu. O jakaż będzie radość, kiedy się znowu zobaczycie!

Lecz już sądzili, że nie staną na zamku Monomusko. Gdy bowiem ów okręt do wybrzeża Anglii dopływał, powstał wicher straszliwy i rozbił go o skałę. Archanioł i kilka

jego towarzyszów podróży zostali wyrzuceni na brzeg w blizkości Swiętego Kalpina. Złożywszy Bogu szczere dziękczynienie, pośpieszył do poblizkiej oberży! Ale jakaż tu radość czekała Archanioła! Co tylko bowiem wstąpił w progi, aż tu ujrzał brata swego Edwarda! Z radosnym wykrzykiem rzucili się sobie w objęcia. Długo milczeli, w rozkosznem bujając zachwyceniu. Wreszcie zawołał Archanioł:

— O cześć i chwała Tobie, dobrotliwy Boże! Lecz jakże się ma nasza matka najukochańsza?

— Ach bracie, — westchnął Edward, — matka nasza najukochańsza przeniosła się już w lepsze krainy!

Zadrżał Archanioł na niespodziewaną tę wiadomość. Cieszył się błogą nadzieją, że jeszcze uściska drogą swoją matkę, że jej opowie wszystkie wypadki podróży swojej i że nawzajem od niej usłyszy, co jej się od chwili milczącego w chacie pożegnania wydarzyło. Miał prawda od niej listowne wiadomości; lecz wystarczająż takowe dla kochanego i kochającego syna?

Na pocieszenie Archanioła dodał Edward jeszcze te słowa:

— Śmierć matki naszej była budująca równie, jak i życie po nawróceniu się do wiary katolickiej przykładnem było. Pożegnawszy nas wszystkich, kazała nam Ciebie pozdrowić, a uśmiechnąwszy się słodko, rzekła: — Jezus, Marya, Józef, nie odstępujcie mię w ostatniej godzinie życia mego! — i wyzionęła duszę swoją czystą, świętymi opatrzona sakramentami.

Następnie powiedział mu Edward, że sobie pojął za żonę przykładną katoliczkę i że z nią żyje szczęśliwie. Aby zaś na niczem na zamku Monomusko nie zbywało, przyjechał on do Kalpina dla uzyskania od króla pozwolenia, by mógł dla swej wygody utrzymywać u siebie katolickiego kapłana.

Przybył właśnie król w ową okolicę na polowanie. Obydwaj bracia pobiegli więc do swego monarchy i prosili go uniżenie o wysłuchanie ich prośby.

Na pierwszy rzut oka poznał król rysy Archanioła.

— Nie nosiliście Wielebny Ojcze, — zapytał, — będąc dawniej w Anglii, innego ubioru?

— Nosiłem, Miłościwy Panie! — odpowiedział Archanioł. — Sprawując niejaki czas u dworu Waszej Królewskiej Miłości urząd tłumacza przy pośle hiszpańskim i mogąc się śmiało pochlubić niezliczonemi łaski Waszej Królewskiej Miłości, pojechałem do matki swojej i chodziłem tam nie raz w szatach swego stanu. Lecz nigdym się nie ponieważył nie pełnić woli swojego monarchy.

— Znam, — rzekł na to król, — zasługi i wierność domu Lesley i Torey. Przyjmuję więc prośby pana. Wolno odtąd panu mieć kapłana na zamku dziedzicznym. Pozwalam nawet, że tam publicznie mszę może czytać.

Uradowani tem oświadczeniem bracia, podziękowali swemu monarsze za nową łaskę i oświadczyli, iż się żadnej zdrady nie potrzebuje obawiać z ich strony, gdyż wiara katolicka wierność nakazuje, a przeniewierców z prawowiernego kościoła wyłącza.

Nazajutrz ruszyli w drogę. Epifanijasz pojechał z nimi. Stanęli szczęśliwie w Monomusku. Trzeci brat i obydwie bratowe przyjęli Archanioła z niewymowną radością. Wzmianka tylko o śmierci Baronowej położyła granicę wielkiej wesołości.

Dowiedziawszy się katolicy w owych okolicach o przybyciu dwóch kapłanów, przybyli na zamek i wyspowiadawszy się, przystąpili do Stołu Pańskiego.

Dla tem większego rozszerzenia wiary katolickiej udał się później Epifanijasz ze Szkocyi ku granicy Angielskiej i nauczał tu z największą gorliwością, Wzrastała liczba zwolenników Rzymskiego Kościoła; lecz rozkaz królewski położył tak chwalebnym postępom nową tamę. Oskarżyli bowiem księża niekatoliccy na nowo Archanioła, jakoby był rządowi szkodliwy. Wysłał więc król gońca do Monomuska z rozkazem, aby Archanioł wraz z braćmi swymi w przeciągu dwóch tygodni w Londynie stanął i tu zdał sprawę ze swych postępków.

Na takie zawezwanie zawołał Archanioł:

— Wie dom hrabiów Lesley od dawna, co winien poddany swojemu królowi, i nigdy jeszcze nie wykroczył niewiernością. A wiele jest rzeczy, którym ani prawo, ani władza świecka zapobiedz nie zdolne, a którym tylko pasterz duchowny zaradzić jest w stanie. O ileż to zbrodni powściąga ojcowski głos kapłana a iluż grzeszników odstrasza spowiedź od złych uczynków!

Odprawiwszy nazajutrz mszę świętą Archanioł, ruszył wraz z braćmi do Anglii.

Lecz już nadeszła chwila, kiedy tyle prac i mozołów, kiedy tyle cnot i zasług nagrodę odebrać miało. Nad granicą bowiem Szkocyi i Anglii zasłabł Archanioł. Okropna gorączka udręczyła go. Widząc się już blizkim zgonu, żałował za grzechy i sądził, że już bez świętych sakramentów umrze. Lecz Bóg miłosierny zrządził nieprzebraną łaską swoją, iż właśnie Epifanijasz przybył do owej wioski. Nie spodziewał się takiego spotkania. Z braterską czułością opatrzył więc swego współpracownika w święte sakramenta i napełnił go słowami zbawiennej pociechy. Z wielką przytomnością umysłu modlił się Arahanioł do Boga. Szczególnie pamiętał o duszach przez siebie nawróconych. Przypomniał mu się także w ostatnią godzinę i Ojciec owych przyjaciół we Francyi, i ciż jego niegdyś towarzysze, i Ojciec, Gwardyan, i kapitan okrętowy i nawet kaznodzieja kalwiński, a cóż dopiero Matka nawrócona! Nad wieczorem zasnął słodko i już się nie obudził, zasnął bowiem na wieki.

O ileż łez wycisnęła śmierć jego! Płakali go bracia, płakał i sędziwy Epifanijasz. I lud się od płaczu wstrzymać nie mógł, usłyszawszy o bogobojnym i nieznużonym życiu nieboszczyka.

Ubrano go w sukienkę zakonną i zawieziono te tak szanowne zwłoki do poblizkiego zamku, gdzie właśnie katolik był panem. Ten dał ciało misyonarza w grobowcu swego rodu umieścić. A na pozgonnym pomniku kazał wyryć te słowa:

Po świecie błądząc, wszystko łożył,
By Boga swego cześć wciąż mnożył.
O bliźni, westchnij zań w tej porze,
On ci swą modłą też pomoże!

KONIEC.

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Prezydent przeczuwając że Meksykanie nieprzyjacielskie kroki przedsięwezmą, wysłał jen. Zacharyasza Taylor z 1500 ludźmi nad granicę i zarazem flotę do zatoki meksykańskiej. Taylor rozłożył się obozem w Corpus Christi i pozostał tam przez jesień i zimę. W dniu 13 stycznia 1846 roku odebrał od ministra wojny rozkaz udania się nad samą granicę. Udał się więc nasamprzód do Point Izabel nad wybrzeżem, gdzie pozostawił 500 ludzi do strzeżenia zasobów wojennych a sam udał się nad rzekę Rio Grande naprzeciw Matamoras, gdzie począł budować warownię. Tymczasem nadciągnęli Meksykanie pod jenerałem Ampudia, który zażądał aby Taylor się cofnął, czego tenże nie chciał uczynić. Rząd meksykański widząc że Ampudia wstrzymuje się z zaczepieniem Amerykanów oddał naczelne dowództwo jenerałowi Arista, który z posiłkami przybył w dniu 24 kwietnia. Położenie Taylora stawało się coraz groźniejszem, gdyż Meksykanie usiłowali go odciąć od zapasów w Point Izabel i znieśli już mały oddział pod kapitanem Thornton. Taylor ukończywszy warownię Fort Brown pozostawił tam załogę a sam udał się w drogę do Point Izabel w dniu 1 maja. Pomiędzy Meksykanami panowała wielka radość, gdyż myśleli że Taylor się cofa i przyszli w dniu 3 maja bombardować Fort Brown, oddział zaś jeden przekroczył rzekę, aby zajść z tyłu warowni. Taylor usłyszawszy o tem, opuścił wieczorem 7 maja Point Izabel, gdzie dostał cokolwiek posiłków. W dniu 8 maja spotkał w Palo Alto armię meksykańską (6000 ludzi) w szyku bojowym pod naczelnictwem Arista. Skoro oddział jego się cokolwiek posilił, uderzył na Meksykanów, którzy po 5 godzinnej bitwie się rozproszyli utraciwszy 600 ludzi, Amerykanie utracili tylko 53. Jeszcze tej samej nocy wyruszył Taylor ku Fort Brown i spotkał nieprzyjaciela w wąwozie Resace de la Palma. Walka była krótsza ale krwawsza jak w Palo Alto. Meksykanie zostali znów pobici utraciwszy 1000 ludzi; Amerykanie mieli 110 zabitych i rannych. Jenerał La Vaga ze 100 ludźmi został wzięty w niewolę; oprócz tego zdobyli Amerykanie 8 armat, trzy chorągwie i wiele zasobów. Ar-

mia meksykańska rozbita cofnęła się po za rzekę Rio Grande.

W Stanach Zjednoczonych panowała z tej przyczyny wielka radość i kongres przeznaczył 10,000,000 dol. na wojnę i kazał utworzyć armię złożoną z 50,000 wolontaryuszów. Plan kampanii był następujący: Flota została wyslana na ocean spokojny i miała uderzyć na miasta nad tamtejszem wybrzeżem. Armia zachodnia miała się zgromadzić w Fort Leavenworth, i wkroczyć do New Mexico a inne rozpocząć operacye z Texas.

Taylor przebył tymczasem Rio Grande i zajął miasto Matamoras, gdzie pozostał aż do końca sierpnia. Gdy posiłki nadeszły, wyruszył ku Monterey stolicy stanu Nueva Leon, którego to, miasta bronił jen. Arpudia z 9000 ludzi. Amerykanie oblegli miasto; oblężenie trwało tylko dni cztery a w dniu 24 września poddał Ampudia miasto i załogę. W dniu 15 listopada zajął jen. Worth na czele 900 ludzi Saltillo, stolicę stanu Coahuila. W d. 14 listopada poddało się miasto Tampus, w dniu 29 grudnia miasto Victoria.

Tymczasem przybył jen. Scott pod miasto Vera Cruz, a będąc oficerem starszym jak Taylor, odebrał mu znaczną część wojska. Taylorowi pozostało tylko 5000 ludzi, pomiędzy tymi 500 regularnego żołnierza, z którymi miał się opierać dwudziesto tysiącznej armii meksykańskiej, którą zgromadzał pod San Luis Potosi jen. Antonio Lopez de Santa Anna. Nareszcie uzupełniwszy armię, udał się do Agna Nueva, 20 mil od Saltillo, na drodze do San Luis Potosi. Pomimo słabych sił, postanowił Taylor go tutaj zaczepić, lecz widząc że stanowisko tamtejsze nie było bardzo pomyślne dla niego, cofnął się do Buena Vista, 11 mil od Saltillo. W dniu 22 lutego przybliżyła się armia meksykańska. Santa Anna zażądał aby Taylor się poddał, zaręczając mu iż jest w koło otoczony Meksykanami, lecz tenże nie przyjął propozycyi. Z rana 23 lutego rozpoczęła się zacięta bitwa, która trwała aż do wieczora. Pomimo przeważnych sił, zostali Meksykanie pobici i cofnęli się w nocy pozostawiając zabitych i rannych na polu walki. Utracili około 2000 ludzi a Amerykanie zaś około 740. Cała północna część Meksyku znajdowała się teraz w rękach amerykańskich a jen. Scott przygotowywał się do zajęcia portu i miasta Vera Cruz i do marszu do stolicy. Taylor oddawszy dowództwo nad swym korpusem jenerałowi Worth wrócił we wrześniu 1847 r. do Stanów Zjednoczonych.

Armią zachodnią dowodził jen. Kearney, który miał zdobyć New Mexico i Californię. Opuściwszy w czerwcu Fort Leavenworth, przybył w dniu 18 sierpnia do Santa Fe, stolicy Nowego Meksyku nie napotkawszy żadnego oporu.

Tymczasem wysłano Fremonta z oddziałem liczącym 60 ludzi, dla zbadania niektórych okolic Nowego Meksyku i Californii. Niedaleko od Monterey stał wtenczas meksykański jen. Castro z znacznym oddziałem. Fremont zwołał nasamprzód wszystkich amerykańskich osadników w tej okolicy i zabrał małą warownię w pobliżu wąwozu Somma w raz z załogą, 9 armatami i 250 strzelbami, poczem wrócił się przeciw jen. Castro i pobił jego oddział (5 lipca). Władze meksykańskie zostały z tej okolicy wypędzone, a tamtejsi Amerykanie ogłosili Fremonta swym administratorem. W dwa dni potem zajął admirał Slout miasto Monterey. W dniu 9 lipca zajął Montgomonery San Francisco, a w dniu 17 sierpnia zdobył admirał Stockton wraz z pułkownikiem Fremont miasto Los Angelos, gdzie się z nim złączył jen. Kearney z 100 ludźmi (27 grudnia). Fremont, prawdziwy oswobodziciel Californii zażądał gubernatorstwa w czem go Stockton i lud popierali, lecz Kearney przywłaszczył sobie ten urząd i wydał w dniu 8 lutego 1847 r. proklamacyę, w której ogłosił przyłączenie Californii do Stanów Zjednoczonych.

Podczas gdy Kearney puścił się w drogę do Californii, odebrał pułkownik Doniphan rozkaz podbicia Nuvajos'ów, co też uczynił i zawarł z nimi traktat w dniu 22 listopada 1846, poczem się udał w drogę ku Chihuahua, aby się tam połączyć z jen. Wool. W dniu 22 grudnia spotkał pod Braceti silny korpus meksykański pod jen. Ponee de Leon, który rozproszył zabiwszy 200 Meksykanów. W dniu 28 lutego stanął na przeciw niego 18 mil od Chihuahua silny korpus składający się z 4000 żołnierzy meksykańskich, który także rozbił utraciwszy tylko 18 ludzi (strata meksykańska wynosiła 600 ludzi) poczem zajął miasto Chihuahua.

Lecz przypatrzmy się teraz operacyom jenerała Scott'a.

Rząd Stan. Zjed. chciał już w jesieni 1446 r. zawrzeć pokój, lecz rząd meksykański nie przyjął propozycyi, dla tego postanowił kongres podbić cały kraj. W dniu 9 marca 1847 wylądował jenerał Scott 13,000 ludźmi w pobliżu Vera Cruz. W dniu 13 zablokowała flota miasto a w dniu 18 było już wszystko przygotowane do ataku. Gdy dowódzca meksykański nie chciał miasta dobrowolnie poddać, rozpoczęto bombardowanie jego. Oblężenie trwało aż do 27 marca, w którym to dniu poddało się miasto, forteca San Juan de Ullon i 5000 Meksykanów wraz z 500 armatami. Straty meksykańskie wynosiły 1000 ludzi w zabitych i rannych, amerykańskie 80 tylko.

W dniu 29 marca zajął Scott miasto a w dniu 8 kwietnia wyruszyła przednia jego straż pod jen. Twiggs ku miastu Mexico. Jen. Santa Anna zajął był mocno zabezpieczoną pozycyę pod Cerro Gordo. W dniu 18 kwietnia uderzył Scott na nieprzyjaciela i odniósł zwycięztwo. Meksykanów padło 1000, Amerykanów 131. W dniu 19 kwietnia zajął miasto Jalapa (czytaj Chalapa) a w dniu 22 powiewała chorągiew amerykańska nad Perote, najmocniejszą twierdzą w Meksyku. Bez oporu wkroczy-

li Amerykanie w dniu 15 maja do starożytnego miasta Puebla, gdzie Scott postanowił odpocząć. W przeciągu dwóch miesięcy zajęli Amerykanie niektóre z najmocniejszych twierdz, wzięli w niewolę 10,000 nieprzyjaciół, zdobyli 700 armat, 20,000 bomb i kul armatnich i t.d. Scott pozostał w Puebla aż do sierpnia a dostawszy posiłków, udał się z 10,000 żołnierzami w drogę do grodu Montezumy. W dniu 10 sierpnia ujrzała armia amerykańska miasto Mexico.

W dniu 11 sierpnia rozłożył się jen. Twiggs dowódzca przedniej straży obozem w St. Augustine, na drodze do Acapulco, ośm mil na południe od stolicy leżącem. Przed nim leżała forteca San Antonio, po prawej stronie wzgórze Churubusco, opatrzone w wysokie wały i dużo armat, a do krórego było się można dostać tylko jedną drogą. W pobliżu znajdował się obwarowany obóz Contreras, gdzie się znajdował jen. Valencia stojący na czele 6000 wojska, pomiędzy nim a miastem znajdował się jen. Santa Anna z 12,000 rezerwistami. W dniu 20 sierpnia 1847 uderzył jen. Smith na obóz w Contreras i zdobył go po krwawej walce. Wziął w niewolę 80 oficerów i 3000 żołnierzy i zdobył 33 armat.

Podobną wycieczkę przedsięwziął jen. Scott przeciw Churubusco, nadszedł atoli Santa Anna z rezerwą i cała okolica zamieniła się w pole walki. Amerykanom powodziło się wszędzie. St. Antonio poddało się, Churubusco zostało wzięte; Santa Anna uciekł do Mexico. Był to nieszczęśliwy dzień dla Meksykanów. W jednym dniu została pobita armia trzydziestotysiączna. 4000 Meksykanów padło, 3000 wzięto w niewolę, zdobyto 37 armat — wszystko to w jednym dniu. Amerykanie utracili 1100 ludzi. Meksykanie zażądali zawieszenia broni, na które Amerykanie zezwolili, lecz Scott widząc że Meksykanie rzeczy na seryo nie biorą, postanowił przypuścić szturm do stołecznego miasta.

W dniu 8 września uderzyło 4000 Amerykanów na 14,000 Meksykanów pod dowództwem jen. Santa Anna pod 31 Molinos del Rey (Młyny królewskie) w pobliżu Chapultepec. Po krwawej bitwie zostali Amerykanie pobici, lecz zgromadziwszy się jeszcze raz, uderzyli na nieprzyjaciół i odnieśli zwycięztwo. Padło 1000 Meksykanów, i 800 Amerykanów. Chapultepec wpadło w ręce amerykańskie; była to ostatnia twierdza broniąca stołecznego miasta. W nocy na 11 września urządził Scott baterye i nazajutrz począł bombardować stolicę. W dniu 13 atakował jeszcze raz cofającego się nieprzyjaciela i pobił go po straszliwej walce. Jen. Quitman ścigał Meksykanów aż do bramy miasta. W dniu 14 września w kroczyli Amerykanie do stolicy. Santa Anna uciekł poprzednio, lecz starał się potem odzyskać co utracił. W dniu 22 ukazał się przed Pueblą, gdzie Meksykanie oblegali pułkownika Childs. Lecz jen. Lane który przybył oblężonym na odsiecz, odpędził go i pobił powtórnie pod Huamantla. Santa Anna pobity po trzeci raz pod Allixco i opuszczony przez wojsko, stał się wygnańcem. Prezydent meksykańskiego kongresu zawarł w dniu 2 lutego 1848 r. w Guadelupe Hidalgo z komisarzem Stanów Zjednoczonych traktat pokojowy, który przez prezydenta Polk'a w dniu 4 lipca w proklamacyi ogłoszonym został. Na mocy tego traktatu miała armia amerykańska opuścić Meksyk w przeciągu trzech miesięcy; Stany Zjednoczone miały natychmiast zapłacić trzy miliony dolarów i 12,000,000 dolarów przez cztery lata w ratach rocznych za zdobyte kraje (Californię i New Mexico) i oprócz tego zapłacić dolarów 3,500,000 długów prywatnych i t. d. — New Mexico i California stały się terytoryami Stanów Zjednoczonych.

Właśnie w tym czasie odkrył niejaki Sutter, Szwajcar, złoto w Californii. Wieść ta rozniosła się lotem błyskawicy. Do Californii przybywali z Europy, Południowej Ameryki i Chin. To czego przez tak długi czas szukali awanturnicy hiszpańscy i angielscy, znalazło się przypadkowo w roku 1848.

O administracyi Polk'a nie ma już wiele co do powiedzenia, wyjąwszy że kongres ustanowił w tym czasie niezależny system finansowy, na mocy którego dochody państwa w złocie, srebrze lub obligacyach na skarbiec, zostały zbierane bez pomocy banków. Zrobiono także rewizyę praw tyczących się taryfy cła. W dniu 29 maja 1848 przyjęto Wisconsin do Unii, która więc już 30 stanów liczyła. W krótce potem przypadały znów wybory. Prezydentem został wybrany jen. Zach. Taylor znany z wojny meksykańskiej, wiceprezydentem Millard Filmore z Nowego Yorku.

ROZDZIAŁ XI.

Administracya Taylor'a (1849 – 1850.)

Zacharyasza Taylor'a znał cały naród jako prawdziwego patryotę i człowieka rzetelnego.

Tysiące awanturników udawało się na początku administracyi Taylor'a do Californii w celu kopania złota. Mężowie stanu i politycy widząc, że terytoryum to tak szybko się zaludnia, poczęli się zajmować kwestyą, czy w Californii zaprowadzić niewolnictwo lub nie; lecz ludność sama rozstrzygła tę kwestyę występując przeciw niewolnictwu na konwencyi w Monterey w dniu 1 września 1849 roku. Kwestya niewolnictwa wywołała wielkie nieporozumienie pomiędzy zastępcami północy i południa w kongresie, a południowcy grozili często secesyą. Za wnioskiem Henryka Clay'a wybrano nareszcie w dniu 4 września 1850 roku komisyę, złożoną z 13 członków — 6 z północnych stanów, 6 z południowych, którzy wybrali Clay'a prezydentem tej komisyi, która pomiędzy innemi uchwaliła: (D. c. n.)